TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI 4 RAZY NA ROK

ROCZNIK XXVI [1942] ZESZYT 3-4 (130-131)



WARSZAWA

NAKŁADEM KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO



TATERNIK

ORGAN KLUBU WYSOKOGÓRSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYCHODZI 4 RAZY NA ROK

NA PROGU.

Jesteśmy na przełomie. Ostatnie lata uczyniły olbrzymie szczerby w gmachu gospodarki i kultury narodowej, sięgające częstokroć do samych fundamentów. Otwiera się okres nowy, okres wyjątkowej wagi.

Ponowna odbudowa po zniszczeniu 20-letniego wkładu pracy twórczej jest zadaniem kolosalnym, lecz ułatwia ją gorzki plon trudnych doświadczeń oraz świadomość popełnionych błędów i zaniedbań.

My ludzie gór, niemało mieliśmy powodów do rozgoryczenia w minionym okresie, patrząc na marnotrawienie najcenniejszych dla nas bogactw, na zaprzepaszczanie najbliższych nam idei. Brudna, interesowna cywilizacja wkraczała zwycięsko wgłąb gór, które zbyt późno postarano się zamknąć dla niej, zbyt miękko przed nią broniono.

My, ludzie gór, ponosimy współodpowiedzialność za tę smutną przeszłość. Powtarzając nasze " caeterum censimus " ochrony gór, zadawalnialiśmy się jałowym oburzeniem i jałowym protestem. Nie są to właściwe metody w walce ze złem.

U progu nowych czasów, w obliczu nowych, przepięknych prac twórczych stajemy z programem maksymalnym zbrojni w niezbite racje i nieugiętą wolę.

Nie powtarzamy już tego, co zostało powiedziane po tysiąc razy, co stało się jasnem dla każdego.

Ochrona gór i utworzenie Tatrzańskiego Parku Narodowego - muszą znaleźć właściwe, pierwszorzędne miejsce w dziele odbudowy gospodarki narodowej.

Przywilej i święte prawo kontroli nad górską gospodarką leśną, pasterską i turystyczną powierzyć trzeba w drodze ustawodawczej Radzie Parku Narodowego przy udziale Państwowej Rady Ochrony Przyrody, wyposażonej w najsilniejszą, najbardziej stanowczą egzekutywę. Ludzie Nauki, ludzie kultury, przywilej ten potrafią ocenić i wykorzystać nie biurokratycznie lecz ideowo.

Ideę Tatrzańskiego Parku Narodowego zrealizować trzeba w sposób stanowczy i bezwzględny, nie cofając się przed najradykalniejszymi środkami, z pełnym uwzględnieniem materjalnym interesów ludności miejscowej, lecz łamiąc wszelkie próby spekulacji i złośliwości. Fakt istnienia jakichkolwiek zdobyczy "cywilizacji" na terenie Parku Narodowego nie może być racją utrzymania ich nadal.

Kładąc kres absolutnie samowolnej i niszczycielskiej gospodarce w górach, przeprowadzić trzeba intensywne zalesienie istniejących zrębisk i przywrócić stan pierwotny szczególnie cennym zakątkom górskim. Nie cofając się przed niszczeniem dróg i budynków.

Kładąc kres dalszemu udostępnieniu gór, ograniczyć się trzeba do konserwacji górskich magistral turystycznych, rozbudowy ośrodków turystyki i ulepszenia komunikacji z tymi ośrodkami.

Założyć trzeba ścisłe rezerwaty w dolinach według progra-

mu ustalonego bezapelacyjnie przez Państwową Radę Ochrony Przyrody. Zarządom Parków Narodowych udzielić prawa ściągania grzywien za wszelkie wykroczenia przeciw przepisom o ochronie przyrody. Wzmocnić straż Parków, wciągając do współdziałania w ściganiu tych wykroczeń wszystkich członków Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, a w szczególności członków Klubu Wysokogórskiego. Dostęp do rezerwatów winien być umożliwiony drogą indywidualnych zezwoleń Zarządów Parków.

x x x

Wchodząc w nowy okres swej działalności Klub Wysokogórski Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, zagadnienie ochrony gór i Tatrzańskiego Parku Narodowego stawia na plan pierwszy, uważając je za najważniejsze i najpilniejsze.

Taternictwo polskie zrodziło polski alpinizm i polski alpinizm egzotyczny, korzeniami swymi tkwi jednak zawsze w Tatrach i skały tatrzańskie są dla niego zawsze glebą macierzystą, najświętszą i najdroższą.

Górom, z którymi tyle więzi nas łączy, ich niemarnieszalności ofiarujemy naszą pierwszą myśl i nasz pierwszy czyn na progu Jutra.

K.R.

PARK PRZYRODY W TATRACH
CZY TATRZAŃSKI PARK NARODOWY

W natłoku wydarzeń poprzedzających wybuch wojny, niemal niepostrzeżenie dla szerszego ogółu przeszedł fakt utworzenia Parku Przyrody w Tatrach, czerwcowym zarządzeniem min.rolnictwa ogłoszonym w "Monitorze Polskim" dnia 8 lipca 1939r.

Dla polskiego ruchu turystycznego było to wydarzenie dużej doniosłości. Bo chociaż wynikło dość przypadkowo, na tle przyłączenia do Polski tatrzańskich terenów jaworzyńskich, choć normować miało stosunki i gospodarkę tej tylko części Tatr, która podlegała Dyrekcji Lasów Państwowych - tym niemniej stanowiło najważniejszy krok ku realizacji projektu Tatrzańskiego Parku Narodowego.

Treść zarządzenia w ogólnych zarysach postanawiała uznanie lasów państwowych na obszarze nadleśnictwa Jaworzyna i Zakopane za t.zw. lasy ochronne, tworząc dla nich jednostkę administracyjną specjalną p.n. Park Przyrody w Tatrach, podległą bezpośrednio Dyrekcji Lasów Państwowych okręgu śląsko-krakowskiego, kierowaną przez kierownika z siedzibą w Jaworzynie, przy współpracy komisji specjalnej o charakterze doradczym i opiniodawczym.

Zasady i warunki ruchu turystycznego na obszarze Parku miały być określone instrukcją szczegółową opracowywaną przez Dyrekcję Naczelną Lasów Państwowych, która ustalić miała trasy masowego ruchu turystycznego i wycieczkowego i narciarskiego, sposób ich przeprowadzenia, miejsca i warunki budowy schronisk, obozowania, biwakowania turystów, a nawet campingowania.

Tymczasowo, zanim instrukcja została wydana, przewidywano upełnomocnienie Kierownika Parku w kierunku ustalenia odpowiednich miejsc wstępu do Parku, dróg, ścieżek i szlaków dla ruchu motorowego, konnego i pieszego. Ostoje, mateczniki, rezerwaty i miejsca ważne z punktu widzenia Ochrony Przyrody miały być zamknięte dla ruchu turystycznego. Przewidywano rygory karne za niszczenie flory i fauny, zakłócanie i zaśmiecanie majestatu górskiego. Taternicy zrzeszeni w Klubie Wysokogórskim mogli, podobnie jak naukowcy - przyrodnicy, liczyć na

indywidualne zezwolenia Zarządu Parku na przebywanie w miejscach nawet zamkniętych dla ruchu turystycznego.

Do praktycznej realizacji tych zamierzeń już nie doszło. Stan rzeczy w ciągu następnych lat zburzył wszelkie projekty. Tereny jaworzyńskie znów przejściowo odłączone zostały od zakopiańskich. I tu i tam rozpoczęła się wojenna gospodarka niszczycielska, wobec której nawet niedostępność górskiego terenu nie była przeszkodą. Topory powaliły nieprzejrzane połacie pierwotnych lasów, zwierzyna uciekała lub ginęła.

Jest niezaprzeczonym faktem, że lata wojny przynosiły Tatrom straty znacznie większe po stronie południowej. Tuternicy, których ograniczenia swobody i trudności turystyki nie odstraszyły od zwiedzania gór, stwierdzali nieproporcjonalnie większe zniszczenie lasów w Tatrach gospodarowanych przez Słowaków i niezwykły przyrost zwierzostanu po stronie polskiej, spowodowany odludnością tych terenów.

Ze szczytów np. Mięguszowieckich widoczne były potworne wyrębiska ogołacające całą niemal część doliny Mięgu - szowieckiej i doliny potoku Krupy. Z drugiej strony spotykano całe stada kozic po kilkadziesiąt sztuk, nawet w tak intensywnie dawniej zwiedzanych okolicach, jak Kozie Wierchy, Swistówka, okolice Czarnego Stawu nad Morskim Okiem, a pojedyncze egzemplarze kozic, jeleni, sarn i świstaków po kilkanaście razy dziennie, przy każdej wycieczce czy spacerze, poprostu w każdej dolinie Tatr Polskich.

Niemieckie władze okupacyjne, bezwzględnie wykorzystujące drzewostan Tatr Polskich nie sprzeciwiały się przynajmniej intensywnym pracom zalesiania powstających wyrębisk. Jeśli chodzi o faunę, trzeba przyznać, że poza nielegalnym połowem pstrągów, dewastacji nie było. Surowe przepisy wojenne i stała, ścisła kontrola pasa przygranicznego

dały w efekcie dobre skutki dla żywej przyrody Tatr. Kłusownictwo dezerterów i górali, które w latach 1914-1918 tak straszne miało rozmiary, tym razem nie istniało, a łowiecka pasja chwilowych strażników ładu nie przybierała form jaskrawych.

W Jaworzynie jednak "penowały" oddziałki słowackie. Straty w tamtych okolicach musiały być dotkliwe.

Nieprzewidziane zdarzenia wojenne wniosły wiele zamieszania w projekty tyczące się Tatr. Lecz stwierdzić trzeba, że zanim do tych zdarzeń doszło, zamieszanie już istniało. - Różnorodność interesów ścierających się na terenie tatrzańskim doprowadzała do konfliktów wręcz uniemożliwiających realizację idei Parku Narodowego. Konflikty te powstawały nawet w łonie tych samych czynników, np. państwowych.

Toć nawet po ogłoszeniu zarządzenia o utworzeniu Parku Przyrody przez min. rolnictwa, min. komunikacji zabierało się do dalszej pseudocywilizacji Tatr, czyniąc przygotowania do budowy wyciągu z Kalatówek na Wrótka.

Ten stan rzeczy budził nieufność nawet w dobrą wolę Państwa wobec idei Parku Narodowego w Tatrach.

I na przyszłość budzić muszą obawy i zastrzeżenia rachunek oparty na koncepcjach wątpliwych, fragmentarycznych, konjunkturalnych.

Doświadczenie przeszłych lat mówi, że bez decyzji radykalnych sprawy gmatwać się będą, wlec w nieskończoność i rwać, nie dając pozytywnych rezultatów. Polityka faktów dokonanych powinna rzecz przeciąć. Łatwiej normalizować stosunki na nowych podstawach, niż szukać ciągle nowych konjunktur w starym systemie..

Mówimy o ideach dawnych, przemyślanych, przepracowanych, uzasadnionych, sformułowanych. Księga "O lice ziemi" jest tych idei wyrazem najdoskonalszym. Chodzi o ich urzeczywis-



tnienie, możliwie najrychlejsze i najtroskliwsze.

Ideałem, w którego realizację głęboko wierzymy, jest objęcie całych Tatr dziełem ścisłej ochrony przyrody i stworzenie Parku Narodowego, który bez względu na kwestje polityczne zachowałby Tatry dla kultury i ochronił je od cywilizacji. Ów przyszły Park Narodowy wyobrażamy sobie pod kierownictwem wspólnym dla obu stref.

Poczuwając się do współodpowiedzialności za przyszłość Tatrzańskiego Parku Narodowego, precyzujemy poglądy tyczące się tworzenia tego Parku po północnej stronie Tatr.

Tezą naczelną jest natychmiastowe unarodowienie całego terenu północnych stoków Tatr Zachodnich, Wysokich i Bielskich od rdzennego łańcucha, po linię zakreśloną przez szosę ze Zdziaru do Łysej Polany, szosę Oswalda Balcera do Jaszczurówki, ścieżkę z Jaszczurówki na Bystre popod Nosal, drogę z Bystrego do Kuźnic, ścieżkę pod Reglami i jej przedłużenie po polanę Kolkówkę do zbiegu z linią granicy państwowej.

Żaden interes prywatny nie może być przeceniany ponad dobro narodu. Przymusowe przewłaszczenia w imię dobra narodu i państwa nie są żadną nowością. Dotychczasowe trudności powstające na drodze stworzenia w Tatrach Parku Narodowego są wynikiem niemal wyłącznie złej woli, pogmatwanych stosunków i ducha spekulacji, tolerowane zatem być nie mogą.

Jedynym gospodarzem całego terenu północnej strefy Tatr winno być państwo, reprezentowane przez Dyrekcję Parku Narodowego, przy współpracy czynnika społecznego, jakim będzie Rada Parku Narodowego z głosem doradczym i opiniodawczym.

W skład Rady wchodzić powinni przedstawiciele min.

kultury i oświaty, min.gospodarki narodowej, min.rolnictwa min.komunikacji, Państw.Rady Ochrony Przyrody i Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Rzeczą Rady będzie wypracowanie szeregu instrukcji szczegółowych normujących stosunki na terenie Parku.

Dyrekcja Parku Narodowego, dysponująca Strażą Górską płatną i ochotniczą /członkowie S.O.G. PTT./ winna mieć pełną egzekutywę wobec turystów i ludności korzystającej z jakichkolwiek dóbr Parku Narodowego. Zadaniem jej w pierwszym rzędzie być powinno maksymalne zalesienie istniejących wyrębisk, zniesienie wszystkich budowli na terenie Parku nieuznanych przez Radę Parku, wprowadzenie niezbędnych ograniczeń wypasu bydła, zbierania drzewa, grzybów, jagód itp., zniesienie handlu wędrownego i uprawiania dzikiego przemysłu w Tatrach, wreszcie ograniczenie ruchu turystycznego w myśl zasad i potrzeb ochrony przyrody.

Ten ostatni punkt wymaga nieco szerszego omówienia na tym miejscu.

Turystyka masowa korzystać powinna ze ścieżek konserwowanych o charakterze magistral, w liczbie ograniczonej, przy jednoczesnym zaniechaniu konserwacji i znakowania innych szlaków.

Magistrale owe przewidujemy: Z Jaworzynki na przełęcz Pod Kopą i z Jaworzynki do ujścia dol.Szerokiej, z Roztoki na Polski Grzebień przez dol.Świstową; z Morskiego Oka na Rysy, na Przełęcz pod Chłopkiem, na Przełęcz Szpiglasową, przez Świstówkę do 5-ciu Stawów; doliną Roztoki od Siklawy po Polanę Białej Wody; z 5-ciu Stawów na Gładką Zawory i Liliowe, oraz na Zawrat i Kozi Wierch; z Hali Gąsienicowej na Kasprowy, Liliowe, przełęcz Świnicką, Karb, Zawrat, Kozią Przełęcz, Kozi Wierch /Żlebem Kulczyńskiego/, Granaty i do dol.Pańszczycy; wreszcie Orlą Perć jako jedyny szlak szczytowy.

Ponadto konieczne jest utrzymanie istniejących głównych

ścieżek w masywie reglowym i Tatrach Zachodnich udostępniających przejścia dolin i przełęczy. Mnożyć ich w żadnym wypadku nie potrzeba.

Redukowanie istniejących a zbędnych urządzeń turystycznych winno odbywać się bez użycia sztucznych środków. Poradzi sobie z nimi sama przyroda. Trzy objekty jednak uchodzą z pod tej zasady.

Po pierwsze: budynki schroniskowe przy Morskim Oku, wraz z przystanią łodzi.

Po wtóre: odcinek końcowy szosy im. Beltzera od t.zw."zakrętu śmierci" po Morenę Morskiego Oka.

Po trzecie: wyciąg saniowy na Kasprowy Wierch.

Dwa pierwsze objekty wiążą się z przywróceniem otoczenia Morskiego Oka do stanu naturalnego. Szosa nie może sięgać dalej jak po Białą Włosienicę. Tam też przenieść należy na miejsce szałasu pasterskiego - budynek schroniska. Morena Morskiego Oka powinna powrócić do szaty roślinnej choćby sztucznie założonej. Taką samą szatą osłonić trzeba zniszczenia przy ścieżce do Czarnego Stawu i do dol. Za Mnichem.

Co do kolejki na Kasprowy, uważamy ją zawsze i uważać będziemy za najszkodliwszy wyłom w idei Parku Narodowego i podtrzymujemy nasze stanowisko negatywne do tego lunaparkowego pomysłu. Stanowczo jednak wnosimy o całkowite usunięcie wyciągu z Kotła Kasprowego.

Deklarując swoją gotowość do dalszej nieustępliwej współpracy w dziele Ochrony Przyrody w Tatrach, uważamy za stosowne podkreślić, że z naszego zespołowego punktu widzenia - stworzenie Tatrzańskiego Parku Narodowego jest zadaniem najpierwszorzędniejszej wagi i to na najpierwszą chwilę.

Z.K.

M G Ł A.

Monotonnie bębnią krople deszczu o dach schroniska. Przez powykręcane okienka [illegible] wkrada się do pokoiku mgła , owiewa nas mokrym tchnieniem, wpełza do śpiworów i mrozi ciało.

Od trzech dni bezpogodny sierpień obłożył Góry kłębami chmur. Wszystko przesiąkło wilgocią. Nigdy nie wysuszone spodnie i skarpety lepią się do ciała, odbierając resztki zapału.

Mimo to pójdziemy dziś znów w Góry: na Kozią Wyżnię od pó nocy. Nie poto by ją przejść, lecz by wyjściem w mokre zimno przełamać gnuśność [illegible] i ospałość.

O kilkanaście kroków za schroniskiem zaczyna się nowy świat. Droga przechodzona dziesiątki razy zmieniła się. Mgła uwydatnia nieznane dotąd szczegóły; retuszuje żlebiki i wnęki, żebra i grzędy, skałki i maliniaki, obok których przechodziliśmy tyle razy, nie widząc ich, i które miniemy jeszcze nie raz, nie dostrzegając ich znowu.

Czarny Staw jest cichy, senny. Ciemna tafla jego zwierciadła ginie daleko w białych oparach. Z zachodnich brzegów jeziora wyrastają w górę niezmierzone ściany, niknące w gęstym welonie mgieł. Zimny wiatr niesie ku nam huk Zmarzłostawiańskiej siklawy. Wezbrane wody skaczą po głazach perci i szybkim, pracowitym nurtem bronią przeprawy. Wysoko więc w górze, skok za skokiem, w najwęższym miejscu przechodzimy na zachodni brzeg potoka.

Zmarzły zastygł w skalnej kotlince, rozciągniętej w przejrzystą mgłę... Jedynie wodospad Koziej Dolinki burzy niezmąconą ciszę jeziora.

Na buli nad Stawem dogania nas ulewa. Po twarzy, po workach, po wiatrówce tłuką wielkie krople deszczu. Po kilku

minutach jesteśmy zupełnie przemoczeni. Przylepione do mokrej skóry ubranie nie chroni od wiatru.

[illegible] zaczyna coraz to bardziej dokuczać rozbite na Koziej Przełęczy kolano: o zapieraniu się w kominie w tych warunkach nie ma mowy. Zostaje więc w kolebie przy ściance.

Jestem sam. Szybko zbiegam po piargu na dno kotlinki. W okół cisza i mgła. Wysoki stożek piargu niesie powoli pod wylot nieznanego dziś żlebu. W prawo i w lewo od niego wyrastają w chmury jak filary. To pewno ściany Kozich Czubów. Teraz więc w lewo: czerwony zachód poprowadzi coraz wyżej.

Strome płyty wiecznego śniegu pod nogami urywają się w nieznane, urywają się w śmierć. Z szarych kłębów otwiera się olbrzymia szczelina brzeżna. Kilkudziesięciometrowy trawers wyprowadza do wylotu olbrzymiego komina to musi być Kozia Wyżnia.

Skały są tak mokre i tak kruche. Dziś jednak wszystko ma swój tajemniczy urok. Pnę się we mgłę popod przewieszony próg. Olbrzymia siklawa niesie wody górnych partji północnych spadzi Kozich Wierchów, wtłacza je w kominy depresji i wielkim skokiem przelatuje nad dolnym ich progiem. Między wodami a skałą trawersuję na płyty lewych ścian żlebu: Dobrze urzeźbiona skała daje możliwość odwrotu, wspinam się więc ostrożnie do małego stopnia ponad załupą. Dalej dziś nie pójdę. Znaczne trudności i brak liny i haków zmuszają do odwrotu. Wolno i ostrożnie schodzę w dół.

Na czerwonych płytach zachodu siedzę dłuższy czas. Po raz pierwszy od dwóch lat czuję, że jestem znów w górach. Nie wśród [illegible] Hali Gasienicowej, nie w kolejce ceperskiej [illegible], nie wśród rozkrzyczanych tłumów nad Czarnym czy na Świnicy. Daleko zostały plątawiska lin i

i tramwajów na grani Kościelca czy Niebieskiej Turni.Zostały Góry i ja. Dobroczynna mgła odegnała rozwrzeszczane karawany. Dzielni wspinacze zrezygnowali ze swych świetnych planów: deszcz jest najmilszy, gdy bębni o szyby ciepłej sali przytulnego schroniska. W góry poszli wariaci i samobójcy.

Dobry deszcz i dobra mgła.

x

x x

Mgła gęstnieje z chwili na chwilę. Robi się coraz zimniej i ciemniej. Ściany nade mną rozrastają się do nieprawdopodobieństwa. Przed oczyma nieograniczone przestrzenie swobody. Pod nogami wieczne śniegi spadają setkami metrów w dół. Wszystko wyolbrzymia w niewidoczność mgła. To już nie Kozia Dolinka, nie Tatry, nie Alpy. To nieograniczone przestrzenią Góry. Góry naszej wyobraźni, naszych uczuć , naszych pragnień.

x

x x

Gdzieś z daleka dochodzi przeciągłe nawoływanie:Wandę niepokoi moja przedłużająca się nieobecność.

x

x x

Silne uderzenia wiatru przebijają mury mgieł: siedzę na małym zachodziku pod ściankami północnego filara Kozich Czubów. O kilkadziesiąt metrów pode mną, na dnie dolinki przed kolebą Wanda gotuje herbatę. Zdala dolatują dzikie wrzaski wyległych przed schronisko ceprów.

St.

" WEŹMY PRZYKŁAD STAMTĄD "

W dyskusjach nad ochroną przyrody tatrzańskiej i nad gospodarką turystyczną w Tatrach słyszymy często głosy domagające się " ucywilizowania " naszych gór w myśl zachodnio-europejskich wymogów i powołujące się na rzekome zagęszczenia kolejek i luksusowość hoteli alpejskich,na komfort i zupełne udostępnienie Alp Zachodnich dla najniedołężniejszych nawet turystów. Wogóle pojęcie owej "zachodnio-europejskości" kojarzy się nam zazwyczaj z luksusem , wygodą, ujarzmieniem wszelkich przeciwności natury, pewnym zniewieścieniem i pogląd ten mimowiednie przenosimy na gospodarkę narodów zachodnich w górach wysokich. Wyobrażenie takie tkwi czasem nieświadomie wśród wielu nawet najgorliwszych, a tylko źle poinformowanych "ochroniarzy" zasugerowanych opowieściami o hotelach, kolejkach wywodzących niemal na każdy szczyt szwajcarski, czy francuski i tym podobnymi "propagandowymi" twierdzeniami.

Przebiegnijmy więc Alpy od wschodu, aż po ów "wzorowy" zachód i przyjrzyjmy się okiem nieuprzedzonym ich urządzeniom turystycznym: drogom, kolejkom, schroniskom, ścieżkom, klamrom i znakom. Dla uniknięcia zarzutu czerpania informacyj z trzecich rąk, zaznaczę odrazu, że będziemy mówić tylko o tych grupach i masywach alpejskich,lub ich fragmentach, które osobiście znam i widziałem.

Zaczniemy więc przegląd od Wysokich Taurów. Pierwsze zetknięcie się jest wprost przeraźliwe i zdaje się potwierdzać nasze najgorsze przypuszczenia. Wschodnia, a zarazem najwyższa część Wys.Taurów - grupa Gross-Glockner - jest bezpowrotnie i barbarzyńsko zniszczona. Od Zell am Zee biegnie poprzez dol Fuscher imponująca autostrada , słynna G r o s s g l ö c k n e r s t r a s s e , przerzy

na się przez główną grań Alp niczem potworna nigdy niezasklepiająca się blizna i opuszcza się do F r a n z J o - z e f s H ö h e ponad gigantyczną, zastygłą rzeką lodowca " P a s t e r z e ", gdzie jest najluksusowszy, jaki w tych warunkach można sobie wyobrazić hotel, wypełniony po brzegi najwspanialszą "śmietanką" światowej turystyki. Cała zresztą szosa usiana jest wzdłuż hotelami, warsztatami reparacyjnemi dla aut, " p a r k p l a t z a m i ", W a s s e r d i e n s t'ami" i tym podobnymi okropnościami. Nie dosyć tego, szosę przedłuża się poprzez stoki F u s c h - e r k a r k o p f, aż póki nie zastąpi jej drogi płaszcz lodowy bocznych odnóg P a s t e r z e. Dalej pójdzie kolejka linowa aż na ów nieszczęsny wierzchołek.

Nocami spędzają sen z powiek eksplozje wysadzanych skał w dzień ryk klaksonów, warkot samochodów i motocykli tłucze się po wszystkich zakątkach ujarzmionej doliny.

Ścieżki - jest tylko kilka głównych szlaków, ale zato jakie! szerokie, wygodne, tam gdzie wkraczają na lodowiec wytyczone gęsto żerdziami, a na wypadek gdyby zabrakło sił któremuś z tych"alpinistów" o portfelach równie pękatych jak brzuchach - wielkie, hotelowe schroniska rozrzucone są o godzinę drogi jedno od drugiego.

Koszmarny obraz, koszmarna wizja przyszłych Tatr "uszczęśliwionych" pomysłami panów z pod znaku kolejki na Kasprowy i na Łomnicę.

Ale - jedno maleńkie"ale": grupa G r o s s g l o c k - n e r jest wprawdzie duża, ale nie stanowi nawet czwartej części wysokich Taurów, a te ostatnie nie są jedynym wysoko-alpejskim łańcuchem Austrii. Inne jak wiemy skąd - inąd są o wiele mniej ucywilizowane / np.Alpy Oetztalskie/ a teraz zobaczymy jeszcze jak wyglądają dalsze - idąc w kierunku zachodnim - partje wysokich Taurów.

Już pewną ulgę przynosi nam przejście z otoczenia G l o c k n e r a do dol. K a p r u n. Jest tam wprawdzie hotelowe schronisko klasy naszego Morskiego Oka,lub Popradzkiego, ale niema ani szosy, ani kolejki, niema wrzaskuturkotu, hałasu, rozgwaru. W całej tej wielkiej dolinie jest tylko jedna ścieżka " na normalnym tatrzańskim poziomie" prowadzące zwykłą drogą na W i e s b a c h - h o r n /oczywiście tylko do granicy wiecznych śniegów/ Przy niej wysoko na grzędzie - jedyne poza wspomnianym schronisko / S c h w e i g e r h a u s / wielkości naszej "Trupiarni" i zagospodarowane, ale już prawdziwie wysokogórskie i nastawione na turystów tym razem bez cudzysłowu.

Następna na zachód dolina S t u b a c h jest już całkiem odmienna: niema już naszych tatrzańskich znakowanych ścieżek, niema tyczek przez lodowce. Jest jedno schronisko, zresztą ukryte w bocznym odgałęzieniu doliny, nad stawem, o wiele godzin marszu od najbliższych schronisk grupy G l o c k n e r a. Dolina S t u b a c h jest granicą tej grupy i grupy G r a n a t s p i t z e, jest także granica dwóch światów: barbarzyńskiej "cywilizacji" i pierwotnej natury. Poza tą granicą wszystko jest zupełnie odmienne niż dotychczas. Grupa granitowych szczytów - jakże przypominających swym krajobrazem Tatry - grupa nie mała bo blisko 300. km.² powierzchni licząca, nie posiada ani jednego schroniska. Słyszycie? - ani jednego schroniska na powierzchni conajwięcej półtora raza większej niż Tatry Wysokie / ok.200 km.²/. Jedynym widocznym znakiem panowania człowieka / bo ludzi można tam 2 i 3 dni nie spotkać/ jest szlak przebiegający, podobnie jak nasza Orla Perć, wzdłuż głównej grani łańcucha. To wszystko - a od R u d o l f s h ü t t e / w dol. S t u b a c h /do nas-

tępnego schroniska na pograniczu już grupy V e n e d i g e r trzeba niełada wyścigowca, aby szlak ten przebył jednym dniem.

Gdy jednak miniemy to królestwo dzikości wkroczymy w najbardziej zachodnią część Taurów – część w której dominuje biało śnieżna piła szczytów V e n e d i g e r. Tu już są oczywiście zagospodarowane schroniska, ale życzyłbym sobie, żeby w Tatrach ich było tyle co tam i tak skromne w swym surowym ograniczeniu się do najkonieczniejszych potrzeb. Schronisko pod T a u e r n p a s s, dwa sąsiedujące ze sobą A l t e i paręset metrów wyżej N e u e P r a g e r h ü t t e pod V e n e d i g e r e m, jedno lub dwa schroniska w masywie D r e i h e r r e n s p i t z e i to wszystko przy powierzchni ponad 800 km.² /4 razy większa niż Tatry/. Z każdego schroniska ścieżka /wcale nie przypominająca naszych dolinnych ścieżek/ wiedzie w dół i jedna perć nieznaczona w górę na szczyt będący głównym celem wędrówek partii turystycznych z przewodnikami, perć, która na lodowcu zmienia się w wydeptany poprzez śnieg szlak – i na tem koniec. Zupełny brak gawiedzi w stylu G l o c k n e r s t r a s s e / lub niedaleko szukając naszego Czarnego Stawu/ spokój – ciszę może przerwać tylko grzmot lawiny, lub hurkot kamieni w odległej ścianie.

Jedźmy dalej na zachód – do Szwajcarii. Tu już widzę jak Panowie "Kolejkarze" zacierają ręce z radości. Przecież Szwajcaria ze swoimi słynnymi hotelami, szosami ...! Muszę was zmartwić moi panowie. Tak, hotele, zwłaszcza szosy – daj nam Boże jaknajwięcej takich, – pod warunkiem oczywiście, że będą tak rozmieszczone jak tam czyli, że zbudujemy je ... w Zakopanem, Kuźnicach, na Gubałówce, a luksusową autostradą połączymy je nareszcie ... z Krakowem i resztą Polski. Zaznaczam, że mam tu na myśli łańcuch B e r n e r O b e r l a n d, bo innych nie znam, ale wiadomo jest powszechnie, że w tej najwyższej i najwspanialszej części Alp szwajcar-

kich napór turystów wszelkich kategorii i to z całego świata jest największy.

Alpy Berneńskie mają jeden wielki grzech pierworodny, popełniony w dawno już na szczęście minionych /zagranicznie u nas/ czasach naporu w kierunku ujarzmienia natury na każdym możliwym terenie, techniką, pomysłowością i wytrwałością człowieka. Grzechem tym jest kolejka na J u n g - f r a u j o c h. Tylko znowu jedno "ale" : kolejka ta - istny cud techniki przebija się skalnym tunelem skośnie wpoprzek cielska E i g e r a i M ö n c h a i aż po samą przełęcz jest ukryta. Byłem w Interlaken, byłem w G r i n d e l w a l d z i e, przechodziłem popod potwornymi zerwami północnej ściany E i g e r a /gdzie ta kolejka przechodzi/ i daję słowo, że nie widziałem najmniejszego śladu kolejki, stacji, lin, torów i.t.p. Nasz zaś "cud XX"wieku, wagoniki sunące majestatycznie przez niebo nad barbarzyńsko zrąbanym starodrzewem Kasprowej Dolinki, da się obserwować ze wszystkich możliwych punktów Tatr i Podhala. Spostrzeżenie ogólne? - kolejka na przełęcz Jungfrau, budowana trzydzieści kilka lat temu przy akompaniamencie entuzjazmu całego społeczeństwa szwajcarskiego /czego już dziś się potrosze wstydzi/ jest zrobiona dziesięć razy dyskretniej, niż kolejka na Kasprowy, budowana teraz przy sprzeciwie wszystkich czynników ochrony przyrody w Polsce, wszystkich towarzystw turystycznych /P.Z.N. nic ma nic wspólnego z turystyką/ i poważnej części świata intelektualnego oraz społeczeństwa polskiego. Nie przytaczam tu nawet użytego poprzednio / przy G l o c k n e r s t r a s s e / argumentu o proporcji nawet tak wielkiego masywu jak J u n g f r a u do powierzchni reszty Alp szwajcarskich.

Przyjrzyjmy się teraz tej grupie " od wewnątrz ", że

tak powiem. Reguła rozmieszczenia schronisk / i to nie tylko tu,ale wogół we wszystkich znanych mi częściach Alp/ - jest dzień, a conajwyżej niepełny dzień marszu od jednego do drugiego. Dzień marszu? a zatym np. z Hali Gąsienicowej przez 5 Stawów, Morskie, Rysy, schronisko pod Wagą - do Popradzkiego. /5 schronisk, nie licząc Bustryckiej i Kasprowego/. Scieżki są oczywiście tylko do schronisk - dalej - niech Pan Bóg i przewodnik pomaga. Tak więc wyszedłszy rano z B ä r e g g h a u s gospody górskiej x/ na najniższym progu gigantycznego łożyska F i n s t e r a a r g l e t s c h e r przed wieczorem /choć bez pośpiechu/ byliśmy w S t r a h l e g h ü t t e w górnej partii tegoż lodowca . Ze S t r a h l e g wyszedłszy o 1-szej w nocy zdołaliśmy wytężonym marszem wyjść średnio trudną granią na F i n s t e r a a r h o r n i na wieczór zejść do schroniska po przeciwnej stronie. Było to po świeżym opadzie i jak okiem sięgnąć nigdzie ani śladu stopy ludzkiej, cóż dopiero jakichś tyczek, czy innych znaków. Znakowane bywają tylko czasami wspomniane już ścieżki do schronisk. Bywają nawet ubezpieczone, ale w takich miejscach gdzie ekspozycja jest rzeczywiście imponująca. Naturalnie niema mowy o żelaznych drabinach, klamrach i linach drucianych. Takiej masy nagromadzonego żelaztwa, jak w drodze na Zawrat i na Orlej Perci nie widziałem w swoim życiu nigdzie i chyba już nie zobaczę. Ubezpieczenia te to poprostu niezbyt gęsto rozmieszczone, metalowe kołki, wbite w gładkie i bajecznie jak na ścieżkę eksponowane płyty, w dodatku, w większości wypadków dające

---

x/ typ schroniska u nas nieznany a wogół sympatyczny: prywatne gospody, coś tak jak u nas schronisko na Łysej Polanie, lub Bigosowej na Głodówce, leżące zazwyczaj na granicy pomiędzy " krańcami cywilizacji ", a " początkiem szlaku " mówiąc londonowskim stylem.

się ręką wyjąć, czego już oczywiście nie pochwalam xx/. Co zaś do owych znaków i wogóle wyglądu ścieżki - niech za porównanie z normalnymi tatrzańskimi służy fakt, że obaj z Gosławskim zgubiliśmy percć wkrótce po wyjściu z B ä r e g g /coprawda jeszcze pociemku/ i dobre 20 minut przeszło na poszukiwaniach. Czy byłoby to możliwe np. w drodze do Staroleśnej, albo schroniska pod Wagą?

Warto się na marginesie zastanowić co oznacza taki "karygodny" stan ścieżek i szlaków, obserwowany nietylko tu, ale jak się niebawem przekonamy w wielu innych partjach alpejskich. Wniosek nasuwa się tylko jeden: cały szereg szlaków budowany w okresie młodzieńczego naporu na góry, w okresie kolejki na J u n g f r a u j o c h o czym była mowa wyżej /u nas wyraził się ten okres pomysłem budowy Orlej Perci/ celowo poszedł w zapomnienie. Ubezpieczenia nie są kontrolowane, znaki nie są poprawiane świeżą farbą, percie nie są przekopywane i utrzymywane. Takie rzeczy są możliwe na Zachodzie i nikt się na to nie oburza. Niech to będzie jeszcze jednym argumentem dla tezy o niszczeniu niektórych zbędnych szlaków o czym mowa w artykule "Park Przyrody w Tatrach czy Tatrzański Park Narodowy" -

A u nas? - Ścieżka na Zawrat jak świat światem była dość szeroka, aby się każdy na niej pomieścił bez względu na tuszę. Cóż to. Wydział P.T.T. zabrał się do niej w 1935 r. i przerobił do szerokości wystarczającej dla dwóch idących ramię w ramię osób, chyba poto tylko aby zakochane pary mogły chodzić pod rękę nie przerywając

---

xx/Zastanawiające jest jednak, że żniwo nieszczęśliwych wypadków wśród zwykłych "zwiedzaczy-ścieżek" jest procentowo wyższe w Tatrach niż w Alpach. Tam bowiem wskutek takiego właśnie stanu rzeczy, kto nie jest wytrawnym alpinistą, ten bierze przewodnika, podczas gdy u nas świetny stan ubezpieczeń i urządzeń orientacyjnych /obok braku dodowców/ pozwala w góry iść każdemu. Najlepsze jednak łańcuchy, klamry i znaki nie powstrzymają niezaradnego i niezdarnego nowicjusza od katastrofy.

miłego gruchania. Doskonałe ścieżki z Kasprowego na Swinicę i z Morskiego Oka do Dol. za Mnichem P.Z.N. przebudowuje wielkim nakładem kosztów na coś w rodzaju równej jak stół, " motocyklostrady". Ano Ano, europeizujemy się!

Co do Alp Wallijskich to znam niestety tylko grupę M a t t e r h o r n u i to tylko od strony włoskiej. Zamało to dla przeprowadzenia jakichkolwiek porównań. Powiem tylko tyle, że konfiguracja olbrzymiej dol. V a l t o u r n a n c h e wrzynającej się w południowe stoki Matterhornu nie sprzyja dostatecznej izolacji tego szczytu od naporu cywilizacyjnego. Dolina ta tworzy szereg niezwykle obszernych i płaskich pięter, a przez przełęcz T h é o d u l łączy się z północną stroną Alp szlakiem znanym jeszcze w czasach rzymskich. Nic dziwnego, że wzdłuż tego szlaku z dawien dawna powstało szereg osad ludzkich, począwszy od starorzymskiego miasteczka C h â t i l l o n u wylotu doliny poprzez miejscowość V a l t o u r n a n c h e, stanowiącą jakby stolicę doliny, a kończąc na B r e u i l, położonym na najwyższym piętrze, bezpośrednio u stóp gigantycznej piramidy Matterhornu. Następstwem tego jest powstanie szeregu hoteli w tych miejscowościach, szosy przez dolinę, kolejki, która w obrębie Breuil razi jednak bezpośrednim sąsiedztwem z majestatycznym Monte C e r v i n o. Powyżej Breuil jest już tylko jeden szlak - włoską granią na Matterhorn. U wstępu jego jest gospoda górska - wysoko na grani małe niezagospodarowane schronisko L u i g i d i S a v o i /3840m./ Na grani są gdzieniegdzie ubezpieczenia, ale trzeba tu tęgiego gimnastyka, żeby wywspinać się, zwłaszcza z plecakiem po grubej okrętowej linie, zawieszonej na przykład w kilkunastometrowym, gładkim jak lustro kominku.

Zbliżamy się teraz do prawdziwego serca Alp i alpinizmu-

do łańcucha M o n t B l a n c. Przyznaję otwarcie,że jadąc tam po raz pierwszy sam myślałem, że gdzie jak gdzie ale tu wyśmienicie zaopatrzone schroniska będą co krok,a przynajmniej główne szlaki będą cudownie przeprowadzone, ubezpieczone i utrzymane. Tymczasem jakże miło rozczarowanie spotkało mnie na miejscu!

O północnej /francuskiej/ stronie łańcucha da się powiedzieć mniejwięcej to samo co o Alpach Berneńskich, odjawszy od tego oczywiście kolejkę na przełęcz J u n g f r a u. Co do kolejek linowych i zębatych to jest ich w Ch a m o n i x aż trzy: na B r e v e n t, do M o n t - e n v e r s i na C o l d e V o z a, czyli - w proporcji tatrzańskiej - jakby na Gubałówkę, na Kosal, no i ewentualnie conajwyżej wyciąg na Boczań.

Najciekawiej jednak przedstawia się włoska /południowa/ strona łańcucha Mt. B l a n c.

W C o u r m a y e u r kończą się hotele i kończy się właściwie szosa. O żadnych kolejkach,czy wyciągach, nikt po tej stronie Alp nie słyszał. Wąska dróżka jezdna - w którą czasem zapuszczają się prócz wózków także i odważni szoferzy włoscy - idzie dalej do E n t r è - v e s gdzie kończy się dolina A o s t y przybliżająca od pd. do łańcucha mt. B l a n c, a w obie strony /pd-zach. i pn.-wsch./ rozchodzą się dwie walne doliny ciągnące się wzdłuż południowych stoków całego pasma:V a l V é n i i V a l F e r r e t. Dróżka jezdna przebiega spory kawał owymi dolinami, a wzdłuż niej wzniesiono są już nie hotele, tylko wspominane kilkakrotnie gospody górskie, które tu przypominają powiedzmy naszą Roztokę, tylko są znacznie mniejsze. Na krańcach tych dolin w pobliżu przełęczy oddzielających łańcuch Mt. B l a n c od innych / C o l d e l a S e i g n e oraz C o l du

G r a n d F e r r e t / stoją dwa spore schroniska niby dwa krańcowe filary włoskiej gospodarki turystycznej. Poza tym , we właściwych pd.stokach łańcucha tylko trzy schroniska są zagospodarowane. Największe z nich " T o r i n o " pod przełęczą Giganta, jest dobre cztery razy mniejsze niż "murowaniec" na Hali Gąsienicowej. Poza tym dwa prawdziwie wysokogórskie schroniska /prycze na 12-16 osób/: schronisko G a m-b a wśród najpiękniejszych urwisk pd. ściany Mt. B l a n c grani P e u t é r e y i grani B r o u i l l a r d, oraz schr. im. Fr. G o n e l l i na głównym szlaku turystycznym wyprowadzającym z włoskiej strony na Mt. B l a n c.We wsch. części łańcucha / w zasięgu dol. F é r r e t/ tylko jedno spore i dobrze zaopatrzone, ale niezagospodarowane schronisko D a l m a z z i przy dol. T r i o l e t. Poza tym tylko kilka małych kilkamiejscowych c a b a n e s, oczywiście niezagospodarowanych, położonych przeważnie w miejscach alpinistycznie trudno dostępnych / np.cab.D u r i e r na C o l de M i a g e, schr. V a l l o t pod Mt.B l a n c i in. / oraz kilka "b i v a c c o f i x e" w kształcie przewróconej drewnianej beczki obitej blacha, zaopatrzonej w koce i prymus, mieszczącej 2-3 osób, lub czasami / schron na C o l de l a F o u r c h e / 4-6-ciu. Wszystko to na terytorium blisko trzy razy większym niż Wysokie Tatry /niespełna 600 km.^{2}/ Ścieżki do schronisk oczywiście tylko zagospodarowanych, bo do innych samo dojście jest czasem poważną wyprawą alpejską - są to perci raczej wydeptane przez częste użycie, niż sztucznie zbudowane. Eksponowana ścieżka do Gam-b y jest ubezpieczona niedbale kilku starymi, powiązanymi linami /radzę im zanadto życia nie powierzać/. Jeśli chodzi o ubezpieczenia sztuczne, to pewną plamą masywu Mt.B l a n c jest ubezpieczone wejście na małą turniczkę D e n t d u

G é a n t, /coś jakby nasz Żabi Koń/, który jak wiadomo, zdobyto środkami " u n f a i r ". Jest to raczej sprawa ideologii alpinizmu, niż ochrony przyrody, bo droga ta niczem nie przypomina Orlej Perci, czy słynnego "warjantu" do Zmarzłego Stawku pod Zawratem i mimo wiszących lin jest jak twierdzą porządnie trudna.

Scieżka do G o n e l l i jest nawet znakowana. Chciałbym jednak widzieć miny delegatów P.T.T. oglądających owe znaki. Nic dziwnego, że nasze poczciwe tatrzańskie, dwu - kolorowe "chorągiewki" wywołały taki podziw na którymś tam kongresie alpinistycznym. Myślę jednak, że zdumienie byłoby jeszcze większe, gdyby nasze znaki ująć np. w neonowe ramki, dodając im widoczności w najciemniejszą noc tatrzańską. Znaki na perci do schr. G o n e l l i to poprostu chlapnięcia czerwonej farby odległe o kilkadziesiąt, czasem o kilkaset metrów od siebie. Trzebaby doprawdy słynnego "tropiciela śladów" z powieści indiańs - kich Coopera, żeby się trzymać znaków nawet w słoneczny dzień. Idzie się poprostu "na węch" i już, a komu węchu nie starczy - bierze przewodnika.

Powyżej schronisk żadnych ścieżek już nie ma. Na uczęszczanych szlakach /jak wspomniany na Mt. B l a n c, lub wejście z przełęczy G i g a n t a na stronę francuską/ są zazwyczaj ślady poprzednich partii. Lecz gdy świeży śnieg przysypie - ginie wszelki ślad i góry wyglądają tak jakby dziś właśnie wyszły z rąk Boga. Wtedy zwykłe wyjście, czy zejście od V a l l o t ó w wymaga doświadczenia i pełnej sprawności alpejskiej. Na każdym kroku jesteś zdobywcą i odkrywcą. Zdobywcą zerwy lodowca, odkrywcą chytrego szlaku przez morze seraków i labirynt szczelin. Na każdym niemal kroku przeżywasz

prawdziwą, alpejską przygodę w wielkim stylu xxx/

Na tem musimy skończyć rozważania, gdyż dalej na zachód nie zapuszczałem się. Skądinąd jednak wiadomo, że Alpy Delfinackie, najbardziej zachodnia część wysokich Alp są jeszcze bardziej dzikie i pierwotne, niż łańcuch Mt. B l a n c .

Pozostaje tylko małe wyjaśnienie co do tytułu. Czy rzeczywiście w naszej gospodarce turystycznej możemy się oprzeć na zachodnio-europejskim przykładzie? Sądzę że tak. Sądzę bo wiem, że powyższy skromny szkic jest wystarczający, aby czytelnik mógł sam odpowiedzieć sobie na pytanie czy im dalej na zachód, tym większa "cywilizacja", dla płaskich materialnych pobudek gwałcąca i ujarzmiająca przyrodę? czy też : im dalej na zachód, tym większa kultura, prawdziwa kultura wielbiąca pierwotną dzikość Natury i bezcenny skarb duchowy zdobywany przez ludzkość obcowaniem z Jej prawieczną, królewską potęgą Piękna.

J.W.Z.

"NIECO O SCHRONISKACH W TATRACH
I O DUCHU HOTELARSTWA"

Poświęcając numer ochronie przyrody tatrzańskiej nie możemy się ograniczyć do opublikowania programu gdzie i jakie urządzenia turystyczne powinny się w naszych górach znajdować. Z punktu widzenia bowiem krajobrazu tatrzańskiego momentem bardzo zasadniczym jest jak te urządzenia mają wyglądać.

---

xxx/ Trzeba jeszcze zaakcentować, że Włochy są krajem, w którym – jak i w Szwajcarii – turystyka jest poważną pozycją dochodu narodowego, której czynniki państwowe nie lekceważą. A jednak stan wyżej opisany zupełnie jakoś nie przyczynia się do odstraszenia zagranicznych turystów. Raczej przeciwnie. Dziwne, prawda?...

Co do zewnętrznego wyglądu ścieżek, szlaków znaczonych i ubezpieczonych trudno nasze dezyderaty sformułować w jakieś wyraźne punkty. Sam teren przez który szlak przechodzi nasunie ożywionemu duchem ochrony przyrody wydziałowi P.T.T. - właściwemu gospodarzowi "bezdroży tatrzańs - kich" - wskazówki w jaki sposób go przeprowadzić nie niszcząc pierwotnego piękna krajobrazu. Ogólne wytyczne i przykłady jak sobie z tem radzą w innych górach znaleźć można w poprzednich artykułach /Park Przyrody w Tatrach czy Tatrzański Park Narodowy" i " Weźmy przykład stamtąd"/. Budowę i istnienie kolejek górskich - jako sprzeczne z ideą ochrony przyrody - wykluczamy, nie mamy więc potrzeby nad tem się rozwodzić. Pozostaje tylko do dodania kilka słów o schroniskach.

Ogólnie biorąc zagospodarowane schroniska górskie można podzielić na dwa zasadnicze typy. 1/ wielkie schroniska hotelowe /w Tatrach jest ich olbrzymia większość/ 2/ prawdziwe schroniska wysokogórskie / w Wysokich Tatrach wymienić można tylko schronisko pod Wagą i ewent. w dol. Staroleśnej w rozmiarach w jakich było ono mniej-więcej 10 lat temu, ponadto niektóre schroniska Tatr Zachodnich zbliżone w typie do szałasów i leśniczówek/ . Zasadą wyglądu zewnętrznego jest prostota, skromność i bezpretensjonalność architektury, zasadą umieszczania takich schronisk - jak najlepsze zamaskowanie ich w terenie / z uwzględnieniem jednak momentów widokowych/.

Rozwiązania powyższe są, trzeba to przyznać - trochę akademickie. Trudno bowiem w najśmielszych nawet marzeniach przypuścić, że np. "murowaniec" na Hali Gąsienicowej będzie przebudowany na 12-to lub 14-to miejscowe schronisko wysokogórskie. Byłoby to zresztą sprzeczne z potrzebami naszej turystyki nie mogącej się po-

mieścić na malenkim skrawku Tatr Polskich. Trzeba się zgodzić, że po stronie polskiej wszystkie schroniska są hotelowe, a nowych – chwalić Boga – nie ma już gdzie budować. Uwagi te co najwyżej mogą mieć pewne zastosowanie w Tatrach Zachodnich.

Dużo się natomiast da zrobić jeśli chodzi o wnętrze schroniska, to wnętrze, które się tak nieodłącznie wiąże z każdym naszym przeżyciem górskim. Zacznijmy od urządzenia optycznego. Można tu tylko powtórzyć to co się wyżej powiedziało o wyglądzie zewnętrznym schronisk: skromność prostota i tylko minimum komfortu. Proste drewniane stoły, ławy, ściany ozdobione dobrymi fotografiami górskimi, ewentualnie częściami ekwipunku górskiego, a nadewszystko nastrój, ta specyficzna atmosfera izby schroniskowej, która tyle uroku dodaje wszystkim wycieczkom alpejskim. Conditio sine qua non osiągnięcia w polskich schroniskach tego specyficznego nastroju, jest przesunięcie punktu ciężkości, odwrócenie [illegible] niej hierarchii z gości knajpowo-hotelowych, snobów, bridżystów i.t.p. na turystów górskich. Proszę nas nie podejrzewać, że uwagi te wypowiadamy "pro domo sua". Nie chodzi nam o kult "super-elity" taternickiej. Uważamy każdego turystę bez względu na to czy idzie na Zamarłą, czy na Rysy za pełnoprawnego "obywatela górskiego" i nie żądamy, żeby obwieszonego hakami i linami "taternika" witano w schronisku pełnym uszanowania milczeniem, lub okrzykami podziwu, czy też ustąpieniem najlepszego miejsca. Chodzi tylko o to, że schronisko jest dla ludzi, którzy idą w góry, wracają z nich pod wieczór, chcą zjeść, ogrzać się, wyspać i następnego dnia iść znowu w góry. I taki turysta musi w schronisku korzystać z wszelkich względów i udogodnień, nie zważając jedynie na to ile pieniędzy w nim zostawi. Niestety w wielu schroniskach

po obu stronach Tatr prym trzyma typowa publiczność z kuracyjnych deptaków, a turysta zmordowany bądź przejściem jakiegoś drugiego szlaku, bądź jakimś solidnie taterniczym wyczynem staje się poprostu niepożądanym natrętem, którego się trzeba jak najprędzej się pozbyć, aby swym niewykwintnym górskim strojem nie wypłaszał wykwintnych gości.

Zagadnienie to napozór tylko jest luźno związane z ochroną przyrody Tatr. W gruncie rzeczy stanowi ono bodaj czy nie jądro sprawy. Duch hotelarsko-merkantylny, gospodarki nastawionej na eksploatację najbardziej "opłacalnej" publiczności – powoduje inwazję ludzi obcych psychicznie górom i przyrodzie górskiej. Inwazja ta zmusza z kolei do czynienia absurdalnych inwestycyj sprzecznych już z samą już wprost egzystencją skarbów natury, które posiadamy. Jeżeli się np. robi modę na to by przyjechać w miejskim stroju autem do Morskiego Oka, zasiąść przy stoliku na werandzie, zamówić butelkę koniaku i przy dźwiękach wrzaskliwej muzyki z płyt gramofonowych grać – wśród tych prawdziwych cudów górskiego krajobrazu – w brydża i jeśli to zostaje uznane przez przedsiębiorców turystycznych za złotą żyłę – to nieuniknioną konsekwencją jest przeniesienie tego jarmarku np. na Kasprowy i połączenie go koleją z resztą świata. /Stąd to cudowny tekst do sloganów reklamowych: "Pociąg, party, dancing, bridge 1980m n.p.m. Na 2 godziny z Zakopanego w serce gór", "W góry, w góry miły bracie, tam swoboda, wódka, karcięta!" i.t.p./

Przesunięcie punktu ciężkości gospodarzy schroniska na turystów zahamowałoby tę "inwazję dolin". Wyobraźmy sobie jakby się czuł taki pan w półbucikach traktowany jak nieznośny natręt w tłumie braci turystycznej, wszystko jedno, czy z pod znaku północnej ściany Żabiego Konia, czy przełęczy pod Chłopkiem. A tym ostatnim znowu

wystarczyłaby w zupełności stara za szczon ścieżka do dol. za Mnichem, zbędna by dla nich była "motocyklowa ścieżka" /tryumf P.Z.M.'u/ i cała Komisja ochrony przyrody byłaby może bezprzedmiotowa.

Do tego jednak potrzebna jest dobra wola wszystkich zainteresowanych czynników Państwowych i społecznych, zrozumienie wreszcie, że Tatry są prawdziwym skarbem narodu, ale nie czarodziejska kura znosząca złote jajka, podtrzymujące budżety instytucji i przedsiębiorstw, tylko raczej bezcennym jakimś klejnotem, za który jeśli się chce mieć pieniądze to trzeba go zwyczajnie sprzedać, czyli pogodzić się z jego utratą. To przecież jest takie proste! -

Wracając zaś do kwestji schronisk to wydaje się, że są trzy warunki konieczne, aby osiągnąć stan pożądany. Dwa pierwsze są, że tak powiem mechaniczne, trzeci się wiąże raczej do problemów, któreśmy tylko co poruszyli. Oto one.

1/ Bezwzględny zakaz wyszynku napoi alkoholowych. Autor tych słów nie zalicza się bynajmniej do abstynentów. Pragnienie swoje może jednak zaspakajać w całej Polsce z Zakopanem włącznie. Sądzi on bowiem, że brzęk szklanek i okrzyki uwijających się jak w ukropie kelnerów z tacami w ręku na których pękate karafki królują w wieńcu kieliszków - nie przystoi majestatowi przedwiecznej ciszy gór. Ponadto napoje alkoholowe - jako najwydatniej "kasowe" - sprzyjają rozwojowi ducha przedsiębiorczo-restauracyjnego, z wybitną szkodą skromnego turysty żądającego szklankę gorącej wody, której chce zanurzyć tradycyjne metalowe "jajko" na kruszku do zaparzania herbaty.

2/ Bezwzględny zakaz instalowania w schroniskach aparatów radiowych, gramofonów ze wzmacniaczami, lub bez i.t.p. urządzeń do wytwarzania hałasu, a co za tym idzie zakaz zabaw tanecznych. Piszący te słowa jest sam gorącym miłośni-

kiem muzyki, mimo tego, /a może właśnie dla tego/ w górach szuka ciszy. Hałasu wszelkiego rodzaju dość mamy po miastach, przy pracy, przy spoczynku, cały dzień, rok okrągły. Jest więc prawdziwą hańbą wszystkich ludzi cywilizowanych aby jeszcze martwotę dzikich kotlin górskich napełnić jarmarcznym odgłosem świata dolin, odgłosem, którego wrzaskliwy jazz jest najtypowszym i bodaj najbardziej zwyrodniałym przejawem. Natomiast w każdym schronisku powinna być duża biblioteka, zawierająca między innymi komplet polskich wydawnictw górskich.

3/ Najistotniejsza i najbardziej decydująca jest w pierwszym rzędzie osoba dzierżawcy schroniska, a w drugim reszta personelu. Od osobistości dzierżawcy zależy najwięcej jeśli chodzi o wspomnianą kilkakrotnie atmosferę schroniska. Jeśli to będzie typowy przedsiębiorca hotelowy - nie pomogą nic formalne zakazy i zalecenia. Jeśli zaś bliskimi będą jego sercu turyści, góry i ochrona ich przyrody - przewartościowanie klientów schroniska nastąpi automatycznie . Najlepiej więc aby to był taternik, lub turysta, w każdym razie rasowy człowiek gór bądź "emerytowany", bądź czynny /miałoby to duże znaczenie jeśli chodzi o organizację ratownictwa w Tatrach; w razie wypadku taki dzierżawca zmontuje natychmiastową ekspedycję ratunkową, która często zapobiegnie katastrofie przez szybką interwencję./ Musi to też być człowiek o dużych kwalifikacjach towarzyskich, mający bojową przeszłość górską, umiejący zabawić swych gości opowieściami o górach, przytem znający jak własną kieszeń okoliczne szlaki, a nawet wspinaczki, - umiejący doradzić turystom plan ich wycieczki i sposób jej przeprowadzenia. Musi być to przedewszystkiem jednak człowiek bezinteresowny, nastawiony nie na to, że "przedsiębiorstwo będzie rentowne" tylko, że ma zapewnione skromne utrzymanie i

życie wśród umiłowanych przez siebie gór. Taki człowiek potrafi stworzyć ową nieuchwytną pełną czaru atmosferę wysokogórskiego schroniska i stanie się przy tym do pewnego stopnia wychowawcą ludzi dążących w góry, a zwłaszcza młodzieży, która nauczy się patrzeć na Tatry nie jako na park rozrywkowy, ale jako na dziwny cud Przyrody, który pozwala młodości odnaleźć swój najistotniejszy i najwznioślejszy wyraz.

J.W.Z.

KILKA WNIOSKÓW "WYPRAWOWYCH"

Powodzenie jakiejkolwiek wyprawy egzotycznej, której za cel postawiono osiągnięcie zdobyczy naukowych czy terenowych, zależne jest w dużej mierze od doboru ludzi, którzy stanowić mają zespół ekspedycyjny. Problem wyboru uczestników wyprawy jest jednym z najtrudniejszych dla kierownictwa ekspedycji. O ile dla rozstrzygnięcia szeregu ważnych zagadnień organizacyjnych, które warunkują wyniki przedsięwzięcia np. w sprawach wyboru sprzętu, środków żywności, czy też metod komunikacji, oprzeć się można na kryterjach konkretnych, pozwalających na wykalkulowanie co, w jakim gatunku i w jakiej ilości należy zabrać, o tyle odnośnie do ludzi, trudno znaleźć tę miarę czy sprawdzian, który pozwoliłby zawczasu ocenić dany zespół jako korzystny lub dla wyprawy negatywny.

W artykuliku niniejszym zamierzam podać kilka uwag, dotyczących problemu oceny ludzi, których kandydatury brane są pod uwagę przy organizowaniu wyprawy "zdobywczej" naukowej, lub alpinistycznej. Do wniosków swoich dochodziłem stopniowo podczas czterech ekspedycji do krajów podbiegunowych. Warunki dalekiej północy przeprowadzają dość jasno a szybko se

lokację wśród uczestników wyprawy, w zależności od tego czy kwalifikacje psychiczne tych ludzi zgodne są, czy też nie zgodne z wymaganiami imprezy. Znana to rzecz, że okolice podbiegunowe są próbą charakterów. To też obserwacje poczynione nad "problemem ludzi" w krajach polarnych mogą być, jak sądzę interesujące. Zjawiska bowiem składające się na to zagadnienie przejawiają się tam z jaskrawą wyrazistością.

Nie można oczywiście nigdy ustalać jakichś gotowych schematów, do których przyrównywać mielibyśmy ludzi, oceniając ich wartości dla wyprawy. Trzeba się pogodzić z faktem, mającym zresztą swój walor i urok, że ludzie kandydujący do wypraw, stanowią zazwyczaj element o silnie zaznaczonych indywidualnościach. Niemal zawsze skład wyprawy przedstawia się jako mozaika osobników różnobarwnych, a często kontrastujących ze sobą. Niewątpliwie jednak istnieją cechy, które każdy uczestnik wyprawy powinien posiadać, aby zespół ze sobą harmonizował. Ważniejsze z tych cech wymienię poniżej. Podkreśliwszy je, zmierzę do konkluzji, że istnieje moim zdaniem szkoła wyrabiająca je lub rozwijająca. Szkołą tą jest /albo też może być/ taternictwo. Kto przez nią przechodził, daje tym samym podstawy do przychylnego rozpatrywania / abstrahując od kwalifikacji naukowych lub tylko wspinaczych zdolności/ swej kandydatury do wyprawy egzotyczne.

Poglądy na temat tego co nazywamy taternictwem i kogo uważamy za taternika, są różne. Wiemy wszyscy, że istnieją kapitalne różnice pomiędzy turystą tatrzańskim, jego poniekąd "odwrotnością" wspinaczem, gardzącym szlakami turystycznymi, oraz taternikiem, łączącym wiele cech jednego i drugiego. Podanie objektywnej definicji taternictwa jest trudne. W zjawisku tym moment "przeżyć" zaakcentowany jest tak silnie, że definiowanie go jest ostatecznie przedewszy

stkiem wyrazem osobistych poglądów autora definicji. Na manowce tej sprawy nie będę tu zbaczał. Klemensiewiczowskie jej ujęcie wydaje mi się dostateczne. Moje osobiste "pod-barwienie" uogólnień, zawartych w "Zasadach Taternictwa", czytelnik o dobrej woli wyczuje z pewną ze zdań dalszych.

Pierwszym doświadczeniem, które przyswoić sobie należy przed jakąkolwiek ekspedycją egzotyczną, zwłaszcza zbiorową, to to, że wyprawy naukowe i alpinistyczne są przedsięwzięciami rzetelnie poważnej pracy. Zasadniczym błędem, popełnianym przez nowicjuszy, jest robienie sobie nadziei, że wyprawa egzotyczna jest jednym pasmem miłych i ciekawych wrażeń, które chłonie się łatwo i z tym nastawieniem, że to one stanowią istotny cel i treść wyprawy. W przedsięwzięciach, poważnych rzeczywistość przedstawia się właśnie na odwrót. Praca fizyczna, praca umysłowa i praca charakterów wypełniają szczególnie okres trwania ekspedycji i z jej usiłowaniami są nieuchronnie związane. Zdolność do ponoszenia wysiłków tych trzech kategorii powinna leżeć w naturze każdego członka ekspedycji

Kwalifikując kandydatów na uczestników wyprawy, z oceną zdolności do pracy fizycznej jak też i umysłowej, w ogólnej zasadzie niema większych kłopotów. Nie istnieją tu sprawdzie oczywiście sprawdzian bez zarzutu pewny, ale jednak dostateczne po temu, aby wśród względnych wartości wszelkich obliczeń i przewidywań, dotyczących organizowanej wyprawy, ocenić dodatnio lub ujemnie kandydata. Sprawność czysto fizyczną określić mogą odpowiednie badania lekarskie. Jeżeli kandydat uprawia taternictwo, to tym bardziej ułatwia ocenę swych walorów w tej dziedzinie. Zdolność do wykonywania pracy umysłowej gwarantują osiągnięcia naukowe kandydata, oraz aktualne opinie środowiska fachowców danego typu. Z oceną dotyczącą zdolności do wykonywania " pracy

charakteru" jest nieporównanie trudniej. I tu wprawdzie oprzeć się możemy na opiniach ludzi godnych zaufania, wiemy jednak jak względne są poglądy ludzkie w takich wypadkach. Wiemy też, że warunki wyprawy wydobywają z uczestników cechy ich charakterów, których nie tylko ludzie z ich otoczenia ale nawet sami ich właściciele nie znają. Każda wyprawa egzotyczna to nie tylko podróż do krajów dalekich, ale także wędrówka poprzez egzotyczne zakątki własnego "ja"

Sprawa odpowiedniej kwalifikacji duchowych uczestnika wyprawy jest zupełnie zasadnicza. Nie mam bynajmniej zamiaru schodzić na tory metafizyki; każdemu wiadomo, że do sprawnego funkcjonowania motorów mięśniowych przy wysiłkach fizycznych, czy mózgowych, potrzebny jest duży zasób podniet, które dać może tylko specyficzna i głęboka kultura duchowa, powyżej oceniona jako " zdolność do pracy charakterów".

Ogólnie biorąc uczestnik "zdobywczej" wyprawy egzotycznej powinien posiadać cechy charakteru, które podzieliłbym na "podstawowe", czyli te, które stanowią wyjściowy podkład dla wszelkich poczynań, oraz "wykonawcze", czyli te, które przejawiają się już w samej akcji.

Podstawowe to.

1. Wyrobione poczucie odpowiedzialności i stała świadomość, że ogólne cele wyprawy są ważniejsze od jakichkolwiek spraw osobistych, aktualnych w czasie ekspedycji.

2. Zdolność i dobra wola do zgodnego współżycia z towarzyszami.

3. Odwaga decyzji.

4. Zdolność do odczuwania satysfakcji, jaką dają wielkie wysiłki.

Wykonawcze:

1. Inicjatywa pracy.

2. Zdolność i gotowość do niespodziewanego podejmowania pracy, niezależnie od ewentualnie istniejącego już zmęczenia lub złej kondycji fizycznej albo psychicznej.

Wymienione powyżej właściwości charakterów są oczywiście daleko posuniętymi uogólnieniami. Nie wyczerpuję też całego problemu. Wszystkie one zazębiają się o siebie nawzajem. Każdej z wymienionych cech możnaby poświęcić artykulik dyskusyjny. Nie będziemy tu tematów tych zbyt rozszerzać. W gruncie rzeczy jest to niemal oczywiste, że każdy uczciwy człowiek, wybierający się ewentualnie z wyprawą, podświadomie wie przynajmniej o prostych prawdach ujętych w powyższe naiwne nieco zestawienie. Podkreślę jednak, że praktyka wyprawowa /tak jak i ogólnie życiowa/ wykazuje, że istnieje potrzeba bardzo konkretnej świadomości tego, co z siebie mamy dawać aby móc przed wyprawami popracować nad przygotowaniem się do nich.

Procesy psychologiczne i "praca charakterów", które są udziałem każdego uczestnika na wyprawie egzotycznej, oraz zespołu jako całości, są nader różnorodne, i w dużej mierze zależne od rodzaju samej ekspedycji. Dają się one jednak przyrównać do tych, jakie mają miejsce w wyprawach taternickich, stanowiących często niejako miniaturę ekspedycji egzotycznych.

Jedynie może dla przykładu wyrabiania w sobie poczucia od odpowiedzialności za rezultaty ekspedycji i świadomości wagi celów wyprawy, z trudem znajdziemy bliższe analogie w poczynaniach taternickich. Ekspedycja bowiem musi być zawsze doprowadzona do pomyślnego końca, bez względu na wysiłki jej pracowników, i musi konsekwentnie zmierzać do swego celu. Wziąwszy udział w wyprawie i rozpocząwszy swą pracę, niema się już odwrotu. Nie każdy zdolny jest do godzenia się z tym.

W wyprawach taternickich istnieje rozkoszna dowolność w dysponowaniu sobą. Gdy chcę - mogę iść w góry; gdy nie chcę - mogę się na przykład wylegiwać w Roztoce. Tego czynnika w wyprawach egzotycznych w zasadzie nie ma wcale. Tater

nik dopiero wszedłszy w ścianę staje się w sytuacji podobnej do uczestnika wyprawy. Ale jeszcze i w tym wypadku na ogół łatwiej i prędzej można zjechać ze ściany i wycofać się w razie warunków niekorzystnych, niż np. dokonać tego z wnętrza Spitsbergenu czy Kordylierów. Nie mówię tu nawet tyle o samych kłopotach, wynikających z trudności terenowych, ile o tym, że "waga gatunkowa" celów wypraw tatrzańskich i egzotycznych jest całkiem odmienna. Świadomość tego faktu trzeba w sobie wyrobić. Na wyprawie egzotycznej w zasadzie nie ma pojęć takich, jak: "dzisiaj nie jestem dysponowany, więc wycofuję się od pracy"; albo tym bardziej: "ta robota nie interesuje mnie, nie mam na nią ochoty". Wyprawa egzotyczna to statek wypływający na szerokie wody. Każdy uczestnik jest członkiem jego załogi i jedną ma tylko ewentualność: jechać do wspólnego celu.

Wszystkie następne wyżej wymienione wymagania, stawiane uczestnikom ekspedycji, znajdują swoje bliskie odpowiedniki w praktyce taterniczej. Odwaga decyzji, to zdolność do przyjmowania na swoją odpowiedzialność kroków organizacyjnych i zdobywczych wyprawy. To śmiałość w decydowaniu o rozmiarach wydatków w podróży, czy też o wyborze szlaków nieznanych, które trzeba przebyć.

Zdolność do współżycia z towarzyszami – wielka filozofia wyprawowa. Wiąże się ona ściśle z zagadnieniem poczucia odpowiedzialności u uczestników ekspedycji, jest jednak problemem tak zasadniczym, że zasługuje na wymienienie oddzielnie. Skromność w ocenie własnych wartości, dobra wola w krytyce towarzyszy, równowaga własnych nastrojów, umiejętność ustępowania, wyzbycie się małostkowości i wstręt do jakichkolwiek drobiazgowych nawyków i przesądów, to podstawowe fundamenty dobrego współżycia. Wśród silnych indywidualności obcych naturze własnej, trudno jest często utrzymać

przyjacielskie stosunki z towarzyszami. Ośmielam się twierdzić, że wyprawy egzotyczne nie stwarzają warunków dogodnych do zawiązywania się przyjaźni głębokich. Tego rodzaju przypadki są prawdziwie rzadkie. W czasie trwania wyprawy obowiązkiem, który na siebie trzeba umieć nałożyć, jest dla każdego uczestnika dbanie o dobre stosunki koleżeńskie i o współpracę zgodną z towarzyszami. Z satysfakcji zdobycia przyjaciół można z góry zrezygnować.

W związku z tą sprawą godnym może przytoczenia będzie przykład pomyślnego uregulowania współżycia trzech członków przeszło rok trwającej wyprawy na wyspę Niedźwiedzią /1932-1933/. Przed ekspedycją nie znaliśmy się wzajemnie. Poznanie się już w podróży wykazało dużą różnicę temperamentów i poglądów życiowych. Niemniej, pożycie nasze, przez niemal pełne dwa dni polarne i długotrwałą zimową noc, było nadzwyczaj zgodne. Mieliśmy w stosunku do siebie dobrą wolę. Jednym z czynników, które w tej dziedzinie odegrały niewątpliwie poważną rolę, było wprowadzenie pewnych rygorów, do których z własnej inicjatywy stosowaliśmy się nawzajem.

Po pierwszym mniej więcej sześciotygodniowym okresie organizowania naszej stacji badawczej, kiedy życie nasze nie było jeszcze uregulowane przez system obserwacji, a pomiary naukowe jeszcze nie rozpoczęte, praca natomiast fizyczna, zmierzająca do organizacji naszej stacji badawczej, wprost zcinała nas z nóg, mogliśmy obserwować na sobie niewątpliwie wzrastającą skłonność do popadania w abnegację w formach naszego wspólnego życia. Któregoś dnia umówiliśmy się jednak, że odtąd nie będzie się już do jedzenia siadało w czapkach, że na początku dnia pracy będziemy sobie mówili "dzień dobry", przed snem zaś "dobranoc", że będziemy unikać wszelkich ordynarnosci w stosunku do siebie, że będziemy jadać na talerzach a nie wprost z garnków /chociaż ich mycie wodą to-

ciona ze śniegu stanowiło proceder wcale nie miły/; że zawsze, niezależnie od przekonania, temu z nas który gotował posiłki /zmienialiśmy się przy tej czynności sprawiedliwie i regularnie co trzeci dzień/ będziemy mówić, że nam jedzenie smakowało i że ... dziękujemy.

Przepisy pozornie naiwne. Były one jednak niewątpliwie bardzo wartościowym wynalazkiem. Mogę zapewnić, że przy całej świadomości "kulis" faktu, każdy z nas rad był słysząc umówioną pochwałę za mnój czarnej pracy w kuchni i każdy czuł potem zgodny tym pracy, powtarzając codzień uprzejmie "dzień dobry" i "dobranoc".

Nie ulega wątpliwości, że współżycie wzajemne ludzi na wyprawie wymaga stosowania się do pewnych reguł nawet zupełnie konwencjonalnych. Pewien wewnętrzny, a najlepiej samorzutny przymus w tej dziedzinie jest stałym ćwiczeniem ludzi w stałym chociażby odnawianiu się i wydobywa wartości, w mierze jak przy zupełnym zaniedbywaniu t.zw. "form" współżycia.

Taternictwo daje w tej dziedzinie szkołę wstępną. Dobieranie sobie różnych towarzyszy, przystosowywanie się do siebie w różnych sytuacjach wypraw górskich, może być treningiem przed ekspedycjami egzotycznymi. Opinia, jaką wyrabia sobie z czasem taternik jako towarzysz w górach, może stanowić również kryterium do kwalifikowania jego wartości dla wyprawy.

Na pierwszym miejscu wśród cech "wyprawowiczów", wymienionych wyżej, postawiłem "inicjatywę pracy". Wysiłki ponoszone w wyprawach podzielić można /gdyż tu już pozwalam sobie na pewną skłonność do systematyki/ na dwie kategorie, oczywiście ściśle ze sobą związane. Pierwsze - to kategorie prac, które są bezpośrednim dążeniem do osiągnięcia głównych celów ekspedycji. Organizacja transportów, pocho-

dy, zdobywanie szczytów, czy też praca naukowa. Możemy te działania nazwać głównymi. Drugi zakres czynności, nazwijmy je pobocznymi, to ten, w którym mieszczą się wszystkie drobniejsze wysiłki, wynikające niemal w każdej chwili trwania wyprawy. Poprawienie uszkodzonego sprzętu, pójście po wodę czy też zaczerpnięcie śniegu do topienia, umocnienie wadliwie postawionego namiotu, poprawienie ładunku na mułach czy na saniach, zwinięcie mokrej liny po odbytej wspinaczce ....

Inicjatywą pracy nazywam zdolność do samorzutnego wykonywania, bez nakazu kierownika czy też dyskusji z towarzyszami i niezależnie od aktywności czy też rozleniwienia tych ostatnich, prac nie tylko "głównych" ale też i "pobocznych". W wyprawach np. na Spitsbergen, gdzie nie dysponuje się siłami roboczymi tubylców, /z tej prostej przyczyny że ich tam niema/, kwestja tej "inicjatywy pracy" jest zupełnie zasadnicza. To samo zresztą odnosi się do ekspedycji korzystających z pracy tragarzy czy np. mulników. Nie w każdej potrzebie można się zwracać do tubylczych pomocników. I dla tego, że dla wielu prostych spraw bywa to procederem zbyt skomplikowanym, jak też i z tej przyczyny, że niemal regułą jest, iż tubylcy patrzą na europejczyka jako na istotę egzotyczną, cechy jego śledzą i podchwytują bardzo trafnie i od nich uzależniają własne postępowanie. Miałem możność obserwowania tego na przykładzie naszych sześciu eskimoskich pomocników na Grenlandii. - Kto sam nie wykazuje inicjatywy pracy, niech się nie spodziewa wykrzesania tego waloru z tubylców.

Ściśle wiąże się z tą sprawą kwestja zdolności do wykonywania pracy niezależnie od wysiłków poniesionych poprzednio. Zaledwie rzadko kiedy dopuszczalne jest na wyprawie powiedzenie w stylu: " Na dziś robotę skończyłem ;

nic już mnie więcej nie obchodzi". Skłonność natomiast do takiej filozofii jest objawem częstym. Potrzeby wyprawy są jej niestety z zasady przeciwne. Trzeba mieć "zryw" ! Układając się do snu, trzeba umieć wypełnić jeszcze kartki notatnika, czy też nawet wygrzebać się ze śpiwora i wejść boso w śnieg, aby naciągnąć zluźniony przez uderzenie wichury sznur od namiotu. Trzeba też umieć powrócić po takiej czynności do namiotu i ułożyć się pomiędzy towarzyszami bez poczucia, że się właśnie dokonało czegoś więcej niż oni.

W krajach polarnych może w silniejszym stopniu niż gdzieindziej potrzebna jest ta właśnie umiejętność podejmowania pracy w każdej chwili. W innych okolicach Ziemi działalność ekspedycyjna stosuje się prawie zawsze do rytmu okresów dziennych. Wieczór jest zazwyczaj terminem końcowym określonej fazy wysiłków. Na dalekiej północy natomiast w okresie lata trwa dzień nieustanny, podobnie jak w zimie noc. Działalność wyprawy uzależniona jest więc w pierwszej mierze nie od położenia słońca lecz pogody. Wywołuje to niemal zupełny brak rytmu pracy; zjawisko, z którym z początku dość trudno jest się pogodzić. Pory posiłków i odpoczynków wypadają w terminach dla mieszkańca krajów "dalekiego południa" zupełnie anormalnych. Wyprawa jednak tylko wtedy osiągnąć może poważne rezultaty, jeśli jej uczestnicy potrafią się do tego jej trybu dostosować i dawać z siebie wysiłki długotrwałe. Nasz geolog czy kartograf na Spitsbergenie dochodzili do rekordów takich jak np. 55 godzin wytężonej umysłowej i fizycznej nieprzerwanej roboty.

Każda zresztą ekspedycja arktyczna ma swoje własne oblicze i sobie właściwe wymagania, które pod najrozmaitszymi formami stawiają uczestnikowi zasadnicze wymaga-

nie jedno: żądają pracy.

Efekty ekspedycji są wynagrodzeniem za jej trudy dla uczestników. Tworzą się one jednak dopiero w toku wyprawy i satysfakcja jaką niosą nie wynagradzają wysiłków bezpośrednio. Urok egzotyzmu otoczenia powszedniejе dla ludzi w miarę zżywania się ich z danym terenem. Piękno ekspedycji dla tych, którzy w przeżyciach wyprawowych oczekiwaliby samych tylko przyjemności, nabrać potrafi posmaku goryczy. Sądzę, że na to, aby przez wyprawę przechodzić bez rozczarowań a z rozmachem potrzebnym do zwycięstwa, trzeba w samym fakcie wykonywania pracy umieć znajdować satysfakcję i urok. Czym trud jest cięższy, czym większe napięcie wysiłków, czym znój bardziej przeradza się w walkę, tym czar jego wspanialszy. Wzamian za największe wysiłki otrzymuje się bezpośrednio pieczenie potu w oczach i jego smak w ustach, łyki mroźnego powietrza, wciągniętego w płuca, lub poczucie pełnego wyżycia się fizycznego i umysłowego. Obiektywna wartość tych wynagrodzeń jest żadna, subjektywna - najwyższa. To bowiem jest pełnym życiem.

O taternictwie Klemensiewicz pisze podobnie. "W nim bowiem przejawia się żądza zmierzenia sił własnych z trudnościami i niebezpieczeństwami i odniesienie zwycięstwa tak nad tym wrogiem zewnętrznym, jak i nad przyrodzonym tchórzostwem. Wreszcie fizjologiczna potrzeba walki, wypływająca z prastarych instynktów rodzaju ludzkiego .... Łączy się z tym rozkoszne uczucie, jakiego doznajemy przy zatrudnianiu pełni władz fizycznych i umysłowych, dzięki któremu mogą się rozwijać takie przymioty jak odwaga, przytomność umysłu, zmysł orientacyjny, które u większości ludzi niepotrzebne na codzień, marnieją.

W wyprawach egzotycznych momenty te zaakcentowane są

jeszcze silniej. Dla tego uważam taternictwo za szkołę dla wypraw, a Tatry za środowisko kryjące w sobie tym więcej potencjalnych możliwości wychowawczych dla naszego ruchu pionierskiego im pierwotniejsze są ich szlaki szczytowe i dolinne.

Rzecz charakterystyczna: niemal we wszystkich ostatnich naszych ekspedycjach egzotycznych / Andy, Spitsbergen, Atlas, Ruwenzori, Kaukaz, Grenlandia, Nikaragua, Himalaje / ludzie ze środowiska taternickiego odgrywali rolę poważne lub decydujące. Kryterium oceny kandydata do wyprawy w oparciu o jego stosunek do Tatr, jest niewątpliwie uzasadnione. Nie może być ono oczywiście regułą ogólną. Po pierwsze jest rzeczą oczywistą, że ludzi "z poza Tatr" nie można z góry ocenić negatywnie, po drugie zaś nie każdy taternik jest typem dla wyprawy pozytywnym. Ci, którzy istotę taternictwa widzą jedynie w usprawnieniu wspinaczek, a całej gamy przeżyć /nie zawsze miłych/ i wysiłków codziennych na podejściach pod ściany, lub przy poznawaniu wielkich a łatwiejszych szlaków, unikają jak ognia, albo uważają je tylko za "malum necessarium", ci są dla wypraw elementem trudnym do ocenienia z góry, przeważnie jednak niebezpiecznym. Ten właśnie typ wprowadza w Tatry wszelkie "udogodnienia" w górach, brukowane ścieżki, i kolejki linowe.

Jest rzeczą pewną, że Tatry nie są tylko perełką jako niewielkie gniazdo górskie typu alpejskiego, kryjące w sobie całe bogactwo problemów przyrodniczych, o których nie widzą i nie chcą wiedzieć ludzie ciemni, dążący do zniszczenia kolejkami i " ueprostradami " ich pierwotnego oblicza. Są one równocześnie enklawą, drobnym i odosobnionym skrawkiem naszego kraju, który w swej pierwotności i nieprzystępności kryje głęboko i dla społeczeństwa potrzebne wartości moralne.

ności i ni przystępności kryje głębokie i dla społeczeństwa potrzebne wartości moralne.

S.S.

POPRAWKI I UZUPEŁNIENIA DO ZESTAWIEŃ Z 1939 ROKU.

1/ ŚRODKOWA ŚNIEŻNA TURNIA: we wspinaczce brali udział tylko Gosławski i Paszucha.

2/ ZACH[illegible] P[illegible]ECZ: w próbie wejścia brali udział również T.Marcinkiewicz i A.Górski..

3/ LODOWA PRZEŁĘCZ WYŻNIA: Z początkiem lipca przeszli ją również Marcinkowski, Marcinkiewicz i Paszucha.

KARTA ŻAŁOBNA

Dr. Adam Rola - Gadomski, swego czasu członek Sekcji Taternickiej A.Z.S. w Krakowie, geograf i cenniony popularyzator spraw górskich, autor wielu artykułów oraz książki "Morfologia glacjalna północnych stoków Tatr Wysokich", zmarł śmiercią tragiczną w lecie 1942 roku.

SPRAWY KLUBU.

Zgłoszenia członków. W myśl § 1[illegible] Statutu Klubu podajemy do wiadomości, że PP. V L A S T I M I L J A N C E R N Y, E D M U N D T R Z U C [illegible] i Z O F I A Z I E L I N S K A wnieśli do zarządu Klubu podanie o przyjęcie ich w poczet członków uczestników Klubu.